

STANISŁAW STWORA.

JAK W BALLADZIE

Z czasów boga wojny.

1

Droga wiała się manowcami.

Wśród zwalisk białego śniegu, zsuwających się z wysokich, poszarpanych brzegów, gęstym borem porośłych, przeciskała się, niby wąz cienki a długi. Gdzieniedzie zapadała gdzieś zupełnie, zasypana puszystym śniegiem, to znowu na polanach leśnych rozlewała się na znacznej przestrzeni.

Tu i ówdzie obok drogi sączyła się z cichym szmerem maleńka struga wody, aby za chwilę zgiąć, potęgą mrozu zniewolona.

A mróz się wzmagał, potężniał.

Bór stał czarny, zamknięty w sobie, milczący. Ni drobny wietrzyk konarami drzew nie ruszył, a z lasu szedł dziwny poszum... pieśń wieczorna boru. Chwilami z głębi dolatywał jakiś straszny trzask i huk, jak czyjeś skargi i jęki, to znowu ujadania psów, a łamanie gałęzi i drzew całych, a za chwilę znów było cicho, cicho aż do strachu.

Grobowia cisza.

Nagle gdzieś z dali odezwały się odgłosy dzwonek, wesoło dzwiczących na najrozmaitszą nutę. Za chwilę rzenie koni przedarło się przez gęstwinę drzew i od jednego drzewa do drugiego leciało setnym echem.

I las się ożywił.

Rzenie koni, przeraźliwy dźwięk dzwonek, u szyi konskich uwieszonych, trzask bicza, hurgot sunących sani, nawoływania woźnicy... od czasu do czasu piosenka huknęła.

Drzewa poczęły chwytac tę dziwną muzykę i w głąb boru ją podawać, skąd wracała zmieniona, łagodniejsza, czystsza.

— Hop! hop! — krzyknął basowy, męski głos z całego gardła, a zewsząd potężnie huknęło echo hop, hop, hop!

— Ale ten bór to mo gardziel, panicku... co? Kieby tu tak muzykę sprowadzić, coby zagrała ober-tasa, toby to grało, a hucalo!

— Hej! hoop... i znowu echo groźnie odpowiedziało: heej, hop.

Woźnica biczem strzelił raz i drugi, lejce oddał chłopakowi obok siedzącemu i obróciwszy się do wygodnie rozpartego w saniach panicza, zaczął gawędzić:

— Ale się tyż panickowi cnić musiało za nasemi stronami? bo to w tem mieście to ino mury a mury, chałupa przy chałupie; ni tam wiatru, jak u nos, co to grzmi, hucy a piscy, ani lasu... nic...

Andrzej, zmęczony drogą, cały ten czas gadania Macieja na pół drzemał i tylko od czasu do czasu głową potakiwał i mruczał: uhm, tak, tak!

Sanie skakały po tej urwistej drodze, jak piłka, rzucana dla zabawy. Trzeba było silnie trzymać się siedzenia, aby nie wylecieć z sani, jak z procy.

Wieczór zapadał, na niebie poczęły się zapalać coraz to nowe rzesze gwiazd i nie ujechali dobrych kilku stajani, a już całkiem było ciemno, tylko gwiazd masy przyswiecały jadącym.

Konie, długą drogą utrudzone, zwalniały biegu, wyrzucając z pysków kłęby pary.

Droga pięła się teraz pod górę, mając po obu stronach bór nieruszany od dziesiątek lat. Chwilami na drogę wychylały się jakieś cienie długie a cienkie, a z głębi odzywał się pomruk...

— Panicku! — rzekł stary Maciej, obracając się znowu i szarpiać za rękę śpiącego już na dobre Andrzeja — terazby dobrze, gdyby panic tak zmówił zdrowaśkę na szczęśliwą przeprawę przez dyable sidła, żeby też nam ten... potempieniec, nie wymawiając jego imienia, nie wypłatał jakiego figla.

— Oj, tak, tak — odezwał się chłopak, siedzący obok Macieja i zaraz zaczął się żegnać a mruczeć modlitwy...

— Dobrze! dobrze, na pohybel mu — mruczał rozespany Andrzej i w dalszym ciągu zaczął drzemać, z końca w koniec sań rzucany gwałtownymi ruchami zaprzęgu po wyboistej drodze.

Stary Maciej zaś pochylił się trochę i wydobywszy różaniec, szeptał modlitwy coraz żarliwiej, im bliżej było do dyabelskich sidła.

— „...Pan z Tobą, błogosławionaś Ty...“ a módlże się Jacek, bo to nie kpinki z zatracencom... jaki rów wyrobi, albo sosny podetnie i rób wtedy, co chcesz, a na śmierć się gotuj... a kto nieprzygotowany... to rogatemu profit... wtedy na łańcuch i do Belzebuba... Ej, żeby tylko do Suchodol dociągnęły szkapy,

tam i pan starszy będzie nas czekał i Franek z Jakiem na koniach, to i raźniej do Huciska dobijemy... byle te sidła minąć... „Błogosławionaś Ty między niewiastami“ mruczał dalej stary woźnica.

A dyable sidła były coraz bliżej... Bór nagle na zakręcie drogi gęstniał, droga zwężała się i szła na jednej z lasem wysokości.

Drzewa niezwykle grube, ogromne sprawiały w nocy wrażenie; mnóstwo drzew, powalonych starością, czy wichrem, leżało na ziemi, na drogę wystając wierzchołkami, czyniły wrażenie pelzających gadów. Już samo to zmuszało do zwolnienia tempa jazdy, musiano bowiem uważać, aby nie zawadzić o leżące pnie.

Od lat one tu dawnych leżały i nikt ich nie chciał usunąć, bojąc się sprowadzać na siebie złość piekielnej mocy.

Andrzej od dzieciństwa słyszał o tem straszem miejscu i zawsze starannie unikał tedy nocą przeprawy. Tak czynili wszyscy rozsądni, poco z dyablem wchodzić w scysy?

Jeżeli już ktoś odważył się nocą tedy przeprawić, to nie samotnie i w saniach, ale konno w kilku ludzi, należycie uzbrojonych, aby móżdż sobie z zasadzkami czarta poradzić.

Tym razem obliczył i Andrzej i rodzic jego, że dyable sidła wypadną jeszcze za dnia i dlatego na powracającego ze Lwowa syna na święta Bożego Narodzenia oczekiwał dopiero w Suchodolach.

Andrzej od dzieciństwa był odważnym, a jeszcze bardziej zmężniał na naukach we Lwowie, ale od lat wrodzony jakiś lęk przed tem dyablem miejscem pozostał mu w głębi, choć go skrzętnie starał się ukryć. I teraz przebudziwszy się, przetarł oczy i ze zgrozą spostrzegł na skraju lasu stojącego potwora, wysokości może czterech sążni, dwa ślepie błyszczące miał w niego wlepione. Szedł od nich jakiś blask żółtawy... złowrogi... aż się Andrzejowi zimno zrobiło... Starał się nie patrzeć w tę stronę, potem oczy zamknął, ale nic nie pomagało; wciąż widział te blade, wypłowiałe a jednak błyszczące oczy.

Prawdziwy mróz przejął wszystkie jego członki. Skrzętniej otulił się futrem, czapkę nacisnął na oczy a za głównie pistoletu ujął. W tej chwili konie zaczęły niespokojnie parskac i gwałtownie rzuciły się w bok, sanie zaś całą mocą rozpędu uderzyły o jeden z leżących na drodze pni.

Stanęli.

Andrzej zerwał się z siedzenia, równocześnie zaś Maciej i Jacek zeskoczyli z kozła i gdy jeden starał się przytrzymać rzucające się wciąż konie, drugi opatrywał uprząż.

Stary Maciej starał się skrzesać ognia i zapalić łuczywo, które gdzieś z pod kozła wydobyl, a cały czas na przemiany to wymyślał, to pomocy świętych pańskich wzywał, a na Jacka gderał i jemu winę przypisywał.

— Siedzi na kozle a nie patrzy na konie ani na drogę, tylko myśli o Bóg wie czem — stare oczy nie widzą przecie, a tu wisus nie ostrzeże, no i masz teraz robotę po nocy.

Łuczywo zapalone oświeciło zaprząg i teraz dopiero spostrzegli pęknięty jeden z powrozów uprząży. Stary zaraz zabrał się do roboty i związał się jak mógł, bo konie na miejscu ustać nie chciały, tylko wciąż łby ku ziemi zwiesiwszy, rżały jakoś dziwnie, a chrapami niespokojnie weszły powietrze.

Robota wkrótce była ukończona.

Jeszcze nie zdołano się usadowić, gdy dało się słyszeć przeraźliwe wycie i równocześnie kilkanaście par ślepiów zabłyszczało tuż przy drodze. Konie jak szalone porwały z miejsca, rzucając saniami z jednego końca drogi w drugi.

W pewnej chwili łuczywo zgasio, upadając w kupe śniegu — opodał runął chłopak jakby wysadzony z kozła.

Maciej chciał sanie zatrzymać, ale nie mogło być o tem mowy, konie bowiem pędziły na oślep.

Gromada oczu wilczych zmniejszyła się o kilka par i wkrótce dały się słyszeć coraz cichsze jęki zmieszane z okropnymi rykami rozbewstwionych zwierząt — reszta pędziła za saniami.

W takiej sytuacji nie można nawet było myśleć o pomocy dla nieszczęśliwego.

Konie bite batem, pędzone widmem gromady wilków, gnały, kopytami prawie nie dotykając ziemi. Z chwili na chwilę odległość między uciekającymi a goniącymi powiększała się, bestye zaczęły już zdać się opanowywać zniechęcenie, gdy sanie drugi raz gwałtownie uderzyły o leżące na drodze drzewo, rwąc tym razem całkowicie uprząż.

Nadzieja ucieczki runęła — odpręgać konie było zapóźno — pozostaowało bronić się do upadłego, a potem... śmierć.

Andrzejowi krew ścięła się w żyłach, w oczach stanęły postacie rodziców, rodzeństwa i smukła postać

biednej, ślicznej Janki. W tej chwili ogarnęła go rozpaczliwa chęć życia, szalone pragnienie zemsty na tych głupich bestyach, które mu chciały je wydrzeć.

Wydobyl pistolet, opatrzył, i w tej chwili pierwsze ślepie ukazały się na drodze. Zmierzył i wypalił, ale chybił — poprawił zaraz stary Maciej i błyszczące oczy zniknęły w śniegu. W tej jednak chwili kilka par się ukazało — huknęły znowu dwa strzały, dwa łby zaryły w śniegu, ale reszta z wściekłością dopadała sań.

Jeszcze odezwał się strzał jeden i drugi, jeszcze jedno cielsko runęło w śnieg i walka przemieniła się już w szamotanie się z masą zgłodniałego zwierza.

Andrzej stojąc w saniach rozdzielał razy na prawo i lewo w jednej ręce trzymając za lufę pistolet, w drugiej drag podany mu przez Macieja.

Ryk bestyi miewał się z jękiem i strasznie przejmującym rżeniem, na śmierć skazanych, dogryzanych koni. Ostatnie rżenie wyrwało się z piersi nieszczęśliwych zwierząt i ucichły, a tylko słyszeć było mlaskanie i trzeszczenie szarpanych wnętrzności.

Andrzejowi krew uderzyła do głowy — zapach krwi, ta beznadziejna walka i widmo śmierci dodawały mu sił. Wiedział, że po koniach przyjdzie kolej na niego i Macieja. Walczył więc z coraz większą zapalczywością; u jego nóg trzy cielska wily się w śmiertelnych kurczach, a to prawie nie zmniejszało gromady napastników. Czuł, że powoli ręce coraz bardziej mu słabną. Razy rozdzielał już coraz rzadziej i niepewniej, a gromada wilków tem silniej nacierała.

W pewnej chwili uczuł dotkliwy ból w piersiach, potem uczuł ciepło na twarzy, coś zaczęło mu przysłaniać oczy, jakby mgłą.

Przez tę mgłę widział padającego skrwawionego Macieja. Słyszał straszny hałas, krzyki, strzały, potem stracił zupełnie świadomość!

II.

Pan podkomorzy Rzeżycki trojga imion Zygmunt, Maciej, Onufry, był człowiekiem bardzo ambitnym. W młodości kilka lat spędził na dworze Radziwiłła „Panie kochanku“, miecznika litewskiego, a potem wojewody wileńskiego i w niejednej burdzie i na jeździe brał udział.

Pamiętał ostatnie lata panowania Augusta trzeciego, a po jego śmierci podczas sejmiku konwokacyjnego asystował wojewodzie do Warszawy. W jednej z bitek na Pradze stracił ucho i z mocno nadwyreżonem zdrowiem cofnął się w zacisze domowe.

Zaledwie jednak przyszedł do zdrowia, przystąpił z powrotem do milicyi Radziwiłła i brał udział w jego wyprawie na Litwę, potem razem z nim podążył na Podole, skąd wyparci, przedostali się do Turcji.

Po kilkunastu latach takiego wałęsania się po świecie wrócił do ojcowizny. W rodzinnej swej wiosce nie zastał nikogo. Rodzice umarli, dwaj bracia młodszy wywedrowali do Gdańska, część majątku, jemu należna, przez nikogo niezagospodarowana, marlała.

Od tej chwili minęło trzydzieści lat z górą, jak się nie ruszał z Huciska. Ożenił się, miał dwoje dzieci i starał się je jak najstaranniej wychować.

Patrzac na cały szereg lat panowania Stanisława Augusta, na ten szereg nieszczęść, spadających niby gromy na nieszczęśliwy kraj, pan Onufry spoważniał i w swym kąciu rodzinnym wytworzył sobie swój nowy pogląd na sprawy kraju.

Kiedy całą Ruś Czerwoną zagarnęła Austria, pan Onufry widział w tem zrzadzenie losu i postanowił też swego syna ustroić w mundur austriacki.

Po ukończeniu szkół prowincjonalnych, Andrzej, wbrew swej woli, został wyprawiony do Lwowa i zapisał się do świeżo założonego liceum na wydział nauk prawnych. Okazywał wiele zdolności i wielkie w pracach czynił postępy. Drugi już rok spędzał we Lwowie na naukach, a ojciec z niecierpliwością oczekiwał, rychło syn zasiądzie w gubernialnym urzędzie.

Jakież więc straszne było zmartwienie, gdy zobaczył syna zbitego krwią, ledwie żywego.

Rannego przywieziono do Suchodol, skąd go absolutnie nie chcieli wypuścić, pomimo oporu pana Onufrego, aż Andrzej nie przyszedł jako tako do zdrowia. Od rana do nocy siedziano przy chorym, pielęgnowano go z anielską cierpliwością.

Andrzej powoli przychodził do zdrowia, ale jeszcze nikogo nie rozpoznawał, tylko w gorączce krzyczał i jęczał.

Raz koło chorego siedziała panna Janina, córka